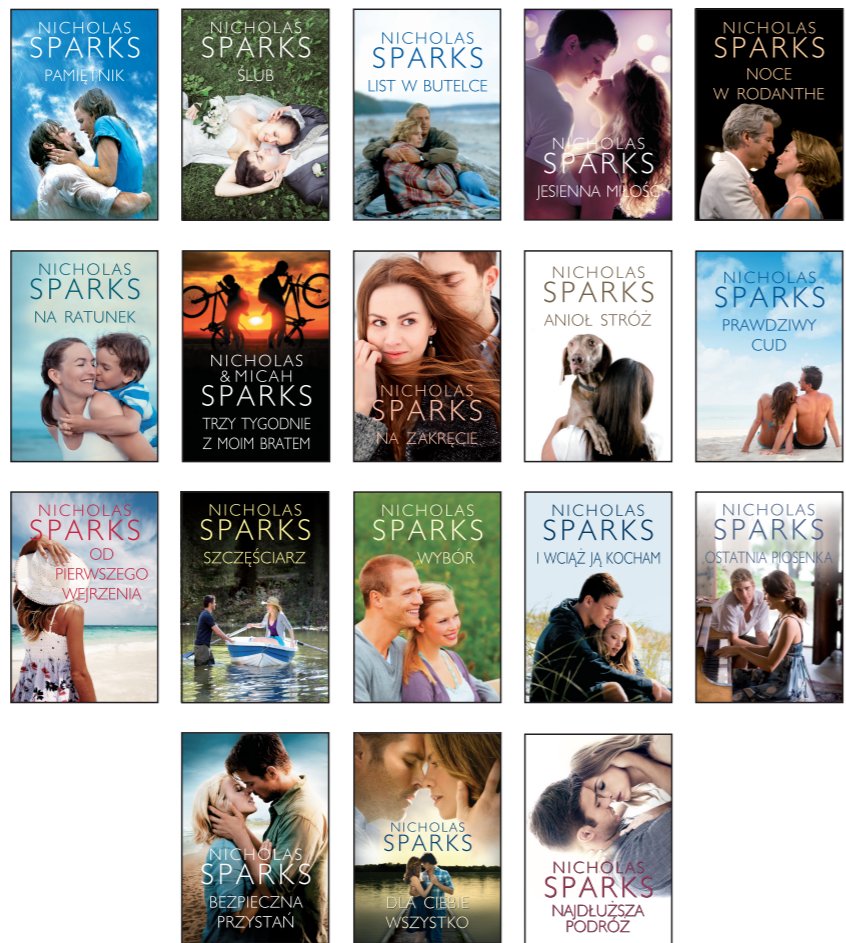


NICHOLAS SPARKS

I WCIAŻ JĄ KOCHAM





NICHOLAS
SPARKS
I WCIĄŻ JĄ KOCHAM

Prolog

Lenoir, 2006

Co to znaczy naprawdę kogoś kochać?

Był czas w moim życiu, kiedy wydawało mi się, że znam odpowiedź: znaczyło to, że będę dbał o Savannah bardziej niż o siebie samego i że resztę życia spędzimy razem. Nie wymagałoby to wiele. Kiedyś powiedziała mi, że kluczem do szczęścia są marzenia, które można zrealizować, a jej są najzwyczajniejsze w świecie. Małżeństwo, rodzina... sprawy podstawowe. Czyli będę miał stałą pracę, domek z białym parkanem oraz van lub SUV na tyle duży, bym mógł wozić nasze dzieci do szkoły, do dentysty, na treningi piłki nożnej lub lekcje gry na fortepianie. Dwójka lub trójka dzieci, Savannah nigdy tego nie sprecyzowała, lecz miałem przecucie, że kiedy nadejdzie czas, zaproponuje, byśmy zdali się na naturę i pozwolili, aby Bóg podjął za nas decyzję. Była właśnie taka — to znaczy, religijna — i przypuszczam, że zakochałem się w niej częściowo z tego powodu. Jednak-

że bez względu na to, co się będzie działo w naszym życiu, potrafiłem sobie wyobrazić, jak codziennie wieczorem kładę się obok niej w łóżku, jak ją obejmuję, śmiejemy się i rozmawiamy, wtuleni w swoje ramiona.

Nie brzmi to nieprawdopodobnie, prawda? Kiedy dwoje ludzi się kocha? Ja również tak uważałem. I choć w głębi duszy nadal uważam to za możliwe, wiem, że tak się nie stanie. Kiedy stąd wyjadę, nigdy już nie wrócę.

Ale w tej chwili będę siedział na zboczu, z którego rozciąga się widok na jej ranczo, czekając na pojawienie się Savannah. Oczywiście ona mnie nie dostrzeże. W wojsku człowiek uczy się wtapiać w otoczenie, a ja byłem pojętnym uczniem, ponieważ nie miałem ochoty umrzeć na obcej ziemi, w jakiejś prymitywnej dziurze w samym środku irackiej pustyni. Musiałem wrócić do tego małego górskiego miasteczka w Karolinie Północnej, by dowiedzieć się, co się wydarzyło. Kiedy człowiek wprawi coś w ruch, ogarnia go uczucie niepokoju, niemal żalu, dopóki nie dowie się prawdy.

Jednego jestem pewien: Savannah nigdy się nie dowie, że byłem tu dzisiaj.

W głębi duszy cierpię na myśl o tym, że Savannah jest tak blisko, a jednocześnie tak nieosiągalna, ponieważ nasze drogi się rozeszły. Nie było mi łatwo pogodzić się z tą prostą prawdą, ponieważ kiedyś te drogi były zbieżne, ale to historia sprzed sześciu lat, choć wydaje mi się, że od tamtego czasu minęły całe wieki. Oczywiście obojgu nam pozostały wspomnienia, ale przekonałem się, że wspomnie-

nia potrafią być ogromnie żywe, a tutaj również różnimy się z Savannah. Jeśli jej są gwiazdami na wieczornym niebie, to moje można porównać do nawiedzanych pustych przestrzeni między nimi. I w przeciwieństwie do niej przytłaczały mnie pytania, które zadawałem sobie setki razy od naszego ostatniego spotkania. Dlaczego to zrobiłem? I czy zrobiłbym to jeszcze raz?

Bo musicie wiedzieć, że to ja zakończyłem nasz związek.

Na otaczających mnie drzewach liście powoli nabierały ognistej barwy, płonąc w promieniach słońca wznoszącego się nad horyzontem. Ptaki zaczęły wyśpiewywać swoje poranne trele, w powietrzu unosił się zapach sosen i ziemi, inny od woni morskiej wody i soli w moim rodzinnym mieście. Za jakiś czas skrzypną drzwi frontowe i wtedy ją zobaczę. Mimo dzielącej nas odległości wstrzymuję oddech, gdy pojawia się w blasku poranka. Przeciąga się, po czym schodzi na dół po stopniach werandy i kieruje się za węgiel domu. Za nią pastwisko dla koni mieni się niczym zielony ocean i Savannah przechodzi przez bramę, która do niego prowadzi. Jeden z koni pozdrawia ją rzeniem, potem drugi, i przychodzi mi do głowy myśl, że Savannah wydaje się zbyt drobna, by poruszać się wśród nich tak naturalnie. Ale ona zawsze czuła się swobodnie wśród koni, a one czuły się swobodnie z nią. Kilka skubie trawę w pobliżu ogrodzenia, lecz większość, w tym Midas, jej kary arab w białych skarpetkach, stoi z boku po jednej stronie. Kiedyś jeździłem z nią konno, na szczęście dla mnie bez kontuzji, i pamiętam,

że kiedy ja trzymałem się kurczowo ze wszystkich sił, to Savannah sprawiała wrażenie tak zrelaksowanej w siodle, że mogłaby jednocześnie oglądać telewizję. Teraz zatrzymuje się na chwilę, by przywitać się z Midasem. Pieszczotliwie pociera jego nos, szepcząc coś do niego, poklepuje go po zadzie, a gdy się odwraca i rusza w stronę stajni, koń strzyże uszami.

Savannah znika, po czym wynurza się znowu, niosąc dwa wiadra — chyba z owsem. Wiesza obydwu na słupkach ogrodzenia i kilka koni natychmiast podbiega do nich truchtem. Gdy cofa się, robiąc im miejsce, widzę, jak wiatr rozwiewa jej włosy. Potem wyjmuję siodło i uzdę. Podczas gdy Midas je, Savannah przygotowuje go do przejażdżki i po kilku minutach wyprowadza z pastwiska w kierunku leśnych szlaków. Wygląda dokładnie tak samo jak sześć lat temu. Wiem, że to nieprawda — widziałem ją z bliska w zeszłym roku i zauważyłem pierwsze delikatne zmarszczki wokół jej oczu — lecz ja patrzę na nią niezmiennie przez ten sam pryzmat. Dla mnie zawsze będzie miała dwadzieścia jeden lat, ja zaś dwadzieścia trzy. Stacjonowałem wtedy w Niemczech. Miałem jeszcze pojechać do Falludży lub Bagdadu albo otrzymać list od niej i przeczytać go na dworcu kolejowym w Samawah w pierwszych tygodniach kampanii. Miałem jeszcze wrócić do domu po wydarzeniach, które zmieniły bieg mojego życia.

Obecnie, w wieku dwudziestu dziewięciu lat, zastanawiam się czasami nad wyborami, których dokonałem. Wojsko stało się jedynym życiem, jakie znam. Sam nie wiem, czy ten fakt powinien mnie wkurzać, czy cieszyć, przez więk-

szość czasu chodzę tam i z powrotem, zależnie od dnia. Na pytania ludzi odpowiadam, że jestem trepem, i mówię to całkiem poważnie. Nadal mieszkam w bazie w Niemczech, mam może tysiąc dolarów oszczędności i od lat nie byłem na randce. Podczas urlopu niewiele już surfuję, ale podczas wolnych dni podróżuję na moim harleyu na północ lub na południe, dokądkolwiek mam ochotę. Harley jest jedyną najlepszą rzeczą, jaką kiedykolwiek sobie kupiłem, chociaż kosztował mnie fortunę. Większość moich kumpli odeszła ze służby, ale mnie prawdopodobnie wyślą z powrotem do Iraku za następne kilka miesięcy. Przynajmniej takie krążą pogłoski po bazie. Kiedy poznałem Savannah Lynn Curtis — dla mnie ona zawsze będzie Savannah Lynn Curtis — nie mogłem w żaden sposób przewidzieć, że moje życie potoczy się w taki sposób, ani też nie przyszłoby mi do głowy, że związę karierę zawodową z wojskiem.

Ale spotkałem ją i to właśnie uczyniło moje obecne życie takim dziwnym. Zakochałem się w niej, gdy byliśmy razem, lecz pokochałem ją jeszcze bardziej w latach, gdy dzieliły nas tysiące kilometrów. Nasza historia składa się z trzech części: początku, środka i końca. I choć w ten sposób rozwija się każda historia, nadal nie mogę uwierzyć, że nasza nie będzie trwała wiecznie.

Zastanawiam się nad tym wszystkim i jak zwykle wraca do mnie wspomnienie wspólnie spędzonego czasu. Cofam się pamięcią do chwili, kiedy się to zaczęło, ponieważ wspomnienia to jedyne, co mi pozostało.

Rozdział 1

Wilmington, 2000

Nazywam się John Tyree. Urodziłem się w 1977 roku i dorastałem w Wilmingtonie, mieście w Karolinie Północnej, które dumnie szczydzi się tym, że jest największym portem w całym stanie oraz ma długą i bogatą historię, ale teraz wydaje mi się raczej miastem, które powstało przez przypadek. Oczywiście zawsze miało wspaniałe plaże i piękną pogodę, lecz nie było przygotowane na przyływ jankeskich emerytów z północy, którzy szukali jakiegoś taniego miejsca, w którym spędzą swoje złote lata. Jest położone na stosunkowo wąskim pasie lądu ograniczonym z jednej strony przez Cape Fear River, a z drugiej przez ocean. Autostrada numer 17 — prowadząca do Myrtle Beach i Charlestonu — przecina miasto na pół i jest jego główną ulicą. Kiedy byłem dzieckiem, pokonywaliśmy z moim tatą odległość od historycznej dzielnicy nad Cape Fear River do Wrightsville Beach w dziesięć minut, później jednak dodano tyle świateł

ulicznych na skrzyżowaniach i powstało tak wiele centrów handlowych, że obecnie ta sama droga może zająć nawet godzinę, zwłaszcza podczas weekendów, kiedy do miasta gromadnie napływają turyści. Wrightsville Beach, wyspa u wybrzeża Cape Fear, znajduje się na wysokości północnego krańca Wilmingtonu i jest zdecydowanie jedną z najchętniej uczęszczanych plaż w całym stanie. Domy na wydmach są absurdalnie drogie i większość z nich właściciele wynajmują przez całe lato. Outer Banks mają więcej romantycznego uroku z powodu swego odosobnienia, dzikich koni i lotu, którym zasłynęli bracia Orville i Wilbur, ale powiem wam, że na ogół ludzie, którzy spędzają wakacje na plaży, czują się najlepiej tam, gdzie mogą znaleźć w pobliżu McDonalda lub Burger Kinga, na wypadek gdyby dzieci nie były zbyt zachwycone miejscowym wiktem, oraz pragną mieć duży wybór wieczornych atrakcji.

Tak jak we wszystkich dużych miastach w Wilmingtonie są bogatsze i biedniejsze dzielnice. Ponieważ praca mojego taty była jednym z najpewniejszych zajęć na świecie wymagających uczciwości — rozwoził pocztę na określonej trasie — powodziło się nam nie najgorzej. Nie świetnie, lecz całkiem dobrze. Nie byliśmy zamożni, ale mieszkaliśmy na tyle blisko bogatej dzielnicy, że mogłem uczęszczać do jednego z najlepszych liceów w mieście. Jednakże w odróżnieniu od domów moich kolegów nasz był stary i mały. Część werandy zaczynała się zapadać, ale podwórko ratowało sytuację. Za domem rósł wielki dąb i kiedy miałem

osiem lat, zbudowałem na nim domek z drewnianych odpadów, które zebrałem na placu budowy. Ojciec nie pomagał mi w moim przedsięwzięciu (jeśli zdarzyło mu się wbić gwóźdź, to naprawdę można to nazwać przypadkiem); tego samego lata nauczyłem się pływać na desce surfingowej. Powinienem już wtedy zdawać sobie sprawę, jak bardzo się z ojcem różnimy, ale to świadczy wyłącznie o tym, jak mało wie się o życiu, kiedy jest się dzieckiem.

Różnił się z tatą tak bardzo, jak tylko mogą się różnić ludzie. O ile on był pasywny i skłonny do introspekcji, o tyle ja zawsze byłem w ruchu i nienawidziłem samotności; o ile on przykładął ogromną wagę do wykształcenia, o tyle dla mnie szkoła była czymś w rodzaju klubu towarzyskiego z dodatkiem zajęć sportowych. On był dość nikłej postury i na ogół, idąc, powłóczył nogami; ja zawsze sunąłem w podskokach, ciągle pytając go, ile czasu zajęło mi przebiegnięcie do następnej przecznicy i z powrotem. W ósmej klasie już go przerosłem, a rok później potrafiłem pokonać go w siłowaniu się na rękę. Różnił się też kompletnie wyglądem. Ojciec miał jasne włosy, piwne oczy i piegi, ja zaś ciemne włosy oraz oczy, a moja oliwkowa cera już w maju nabierała czekoladowego odcienia opalenizny. Nasz absolutny brak podobieństwa wywoływał komentarze niektórych naszych sąsiadów, których ten fakt bardzo dziwił, zwłaszcza że ojciec wychowywał mnie sam. Gdy byłem starszy, słyszałem nieraz, jak szepczą coś o tym, że moja mama uciekła, kiedy miałem niespełna rok. Choć później

podejrzewałem, że związała się z kimś innym, tata nigdy tego nie potwierdził. Powiedział jedynie, że uświadomiła sobie, iż popełniła błąd, wychodząc tak wcześnie za męża, i że nie była jeszcze gotowa do roli matki. Nigdy z niej nie szydził ani też jej nie chwalił, lecz upewniał się, że modłę się za nią, bez względu na to, gdzie teraz jest lub co zrobiła. „Przypominasz mi ją” — mawiał czasami. Do dziś dnia nie zamieniłem z nią nawet jednego słowa, nie miałem też w ogóle na to ochoty.

Myślę, że mój ojciec był szczęśliwy. Ujmuję to w ten sposób, ponieważ tata rzadko okazywał uczucia. Uściski i pocałunki były rzadkością w okresie mojego dzieciństwa, a kiedy już się zdarzały, wydawały mi się jakies bez życia, jak gdyby robił to, ponieważ uważał, że tak należy, a nie dlatego, że ma na to ochotę. Wiem, że mnie kochał, ponieważ poświęcił się całkowicie mojemu wychowaniu, lecz miał czterdzieści trzy lata, gdy się urodziłem, i w głębi duszy uważam, że mój ojciec bardziej nadawał się na mnicha niż na rodzica. Był najbardziej milczącym człowiekiem, jakiego znałem w życiu. Zadawał mi parę pytań, co się dzieje w moim życiu, rzadko wpadał w gniew i równie rzadko żartował. Żył zgodnie z ustalonym porządkiem. Codziennie rano smażył dla mnie jajecznicę na bekonie i opiekął grzanekę, a przy obiedzie, który również sam gotował, słuchał moich opowieści o szkole. Planował wizyty u dentysty dwa miesiące wcześniej, płacił rachunki w sobotę rano, robił pranie w niedzielę po południu, dzień w dzień

wychodził z domu dokładnie o siódmej trzydzieści pięć. Nie był raczej towarzyski i przebywał przez wiele godzin dziennie sam, wrzucając paczki i listy do skrzynek wzdłuż swojej trasy. Nie spotykał się z kobietami, nie grywał wieczorami podczas weekendów z kumplami w pokera. Telefon milczał tygodniami. Kiedy już dzwonił, była to albo pomyłka, albo telefoniczna reklama. Zdaję sobie sprawę, jak trudno mu było wychowywać mnie samemu, nigdy jednak się nie uskarżał, nawet jeśli sprawiałem mu zawód.

Większość wieczorów spędzałem samotnie. Po zakończonej wreszcie pracy ojciec zaszywał się w swojej dziupli z ukochanymi monetami. To była jego jedyna wielka pasja w życiu. Czuł się najszczęśliwszy, siedząc w swoim azylu, studiując biuletyn numizmatyczny o nazwie „Greysheet” i zastanawiając się, którą monetę powinien teraz nabyć do kolekcji. Prawdę powiedziawszy, kolekcję numizmatyczną zapoczątkował mój dziadek. Idolem dziadka był Louis Eliasberg, finansista z Baltimore, jedyny człowiek, który zgromadził pełną kolekcję amerykańskich monet, łącznie z różnymi datami wybicia oraz symbolem mennicy. Jego zbiór dorównywał zbiorowi w Instytucie Smithsona, o ile nie był od niego większy. Po śmierci mojej babci w 1951 roku dziadka zafascynowała myśl, by stworzyć kolekcję wspólnie z synem. Podczas letnich wakacji mój dziadek i mój tata podróżowali pociągiem do różnych mennic, by kupować nowe monety z pierwszej ręki lub zwiedzać najrozmaitsze wystawy numizmatyczne na Południowym

Wschodzie. Z czasem dziadek i ojciec nawiązali kontakty z wieloma handlarzami numizmatów w całym kraju i dziadek wydał przez lata fortunę, rozwijając kolekcję. Jednakże w odróżnieniu od Louisa Eliasberga mój dziadek nie był bogaty — miał sklep wielobranżowy w Burgaw, lecz musiał zwinąć interes, kiedy w mieście zostały otwarte supermarkety sieci Piggly Wiggly — i nigdy nie miał szansy, by dorównać zbiorowi Eliasberga. Mimo to każdy ekstra dolar szedł na zakup monet. Dziadek nosił przez trzydzieści lat tę samą marynarkę, przez całe życie jeździł jednym samochodem i jestem pewien, że tata zaczął pracować w urzędzie pocztowym, zamiast wyjechać do college’u, ponieważ dziadkowi nie zostało pieniędzy na opłacenie nauki syna po szkole średniej. Bez wątplenia był dziwakiem, podobnie jak mój ojciec. Stare powiedzenie mówi: niedaleko pada jabłko od jabłoni. Kiedy staruszek w końcu zmarł, zaznaczył w testamencie, że jego dom ma być sprzedany, a pieniądze przeznaczone na zakup kolejnych numizmatów. Prawdopodobnie i bez tego zastrzeżenia mój ojciec właśnie tak by postąpił.

Gdy tata odziedziczył kolekcję, miała już sporą wartość. Kiedy inflacja osiągnęła niebotyczny poziom, a złoto kosztowało osiemset pięćdziesiąt dolarów za uncję, zbiór był już wart małą fortunę. Wystarczyłoby z nawiązką, żeby ojciec mógł kilka razy z rzędu przejść na emeryturę, a jeszcze więcej będzie warta za dwadzieścia pięć lat. Lecz ani mojego dziadka, ani ojca nie interesowały pieniądze. Zajmowali się

numizmatyką dla dreszczu emocji, typowego dla myśliwych, i powstała między nimi silna więź. Było coś podniecającego w długim, trudnym poszukiwaniu konkretnej monety, na koniec w znalezieniu jej i negocjowaniu, by uzyskać odpowiednią cenę. Czasami można ją było kupić za przystępną cenę, innym znowu razem nie, ale każdy egzemplarz, który dodawali do kolekcji, stanowił cenną zdobycz. Tata miał nadzieję, że będę podzielał jego zamiłowanie, jak również godził się na poświęcenie, którego owa pasja wymaga. W latach dorastania musiałem spać zimą pod dodatkowymi kocami i dostawałem nowe buty raz na rok. Zawsze brakowało pieniędzy na ubrania dla mnie, chyba że pochodziły z Armii Zbawienia. Ojciec nie miał nawet aparatu fotograficznego. Jedyne nasze wspólne zdjęcie pochodziło z wystawy numizmatów w Atlancie. Zrobił je pewien handlarz, gdy staliśmy przed jego stoiskiem, i przysłał je nam. Przez lata stało na biurku ojca. Na tym zdjęciu tata obejmuje mnie ramieniem i obaj uśmiechamy się promiennie. Trzymam w dłoni pięciocentówkę Buffalo z 1926 roku, w doskonałym stanie, którą ojciec właśnie kupił. Zaliczała się do najrzadszych pięciocentówek Buffalo i skutek był taki, że przez miesiąc żywiliśmy się hot dogami i fasolą, moneta kosztowała bowiem więcej, niż się ojciec spodziewał.

Ale ja nie miałem nic przeciwko temu poświęceniu — w każdym razie przynajmniej przez jakiś czas. Kiedy tata zaczął rozmawiać ze mną o numizmatach — musiałem być wtedy w pierwszej lub w drugiej klasie — traktował mnie

jak równego sobie. Każdemu dzieciakowi uderza do głowy, kiedy dorosły, a zwłaszcza ojciec, traktuje go po partnersku, toteż grzałem się w promieniach jego zainteresowania, wchłaniając te informacje. Z czasem umiałem powiedzieć, ile „Podwójnych Orłów” Saint Gaudens wybito w 1927 roku, a ile w 1924, i dlaczego dziesięciocentówka Barber Dime z 1895 roku, wybita w Nowym Orleanie, ma dziesięciokrotnie większą wartość od tej samej monety wybitej tego samego roku w Filadelfii. Notabene, nadal to potrafię. Jednakże, w odróżnieniu od ojca, w końcu zacząłem wyrastać z mojej kolekcjonerskiej pasji. On nie potrafił chyba rozmawiać o czymkolwiek innym i po sześciu czy siedmiu latach, kiedy to weekendy spędzałem z nim, zamiast z kolegami, zapragnąłem wyrwać się z domu. Podobnie jak inni chłopcy zacząłem interesować się innymi rzeczami, przede wszystkim sportem, dziewczynami, samochodami, muzyką, toteż mając czternaście lat, niewiele przebywałem w domu. Odczuwałem też coraz większe rozzalenie. Powoli docierało do mnie, jak bardzo różni się moje życie od życia kolegów. Podczas gdy oni zawsze mieli forsy jak lodu na kino czy na modne okulary przeciwsłoneczne, ja zebrałem o dwudziestopięciocentówki, żeby kupić sobie hamburgera w McDonalddie. Na szesnaste urodziny kilkunastu kolegów dostało samochody, mnie zaś tata podarował srebrną jednodolarówkę Morgana wybitą w Carson City. Dziury w naszej zniszczonej kanapie były przykryte kocem i byliśmy jedyną znaną mi rodziną, która nie miała telewizji kablowej czy mikrofalów-

ki. Kiedy zepsuła się lodówka, ojciec kupił używaną, w najohydniejszym odcieniu zieleni, który nie pasował do niczego w kuchni. Ogarniało mnie zakłopotanie, gdy pomyślałem, że mogliby do mnie wpaść koledzy, i winiłem za to ojca. Zdaję sobie sprawę, że było to raczej żalosne uczucie — skoro tak mi doskwierał brak gotówki, mogłem, na przykład, kosić trawniki lub podejmować się dorywczych prac — ale ja byłem ślepy jak kret i głupi jak but. Nawet jeśli powiem wam teraz, że żałuję swojej niedojrzałości, to nie da się cofnąć czasu.

Tata czuł, że coś się zmienia, lecz nie bardzo wiedział, jak temu zaradzić. Próbował w jedyny znany sobie sposób, w jedyny sposób znany jego ojcu. Rozmawiał o monetach — wyłącznie o nich potrafił swobodnie rozprawiać — i w dalszym ciągu przygotowywał dla mnie śniadania i obiady, lecz nasze stosunki coraz bardziej się oziębiały. Jednocześnie oddaliłem się od kolegów, których znałem od dawien dawna. Rozbili się na kliki, w zależności od tego, jakie filmy oglądali czy jakie koszule kupili ostatnio w centrum handlowym, i nagle znalazłem się poza nawiasem. Pieprzę ich, pomyślałem. W szkole średniej zawsze jest miejsce dla wszystkich, zacząłem więc zadawać się z niewłaściwym towarzystwem, chłopakami, którzy nie przejmowali się niczym, a w rezultacie ja również przestałem się przejmować. Opuszczałem lekcje, paliłem i trzykrotnie zawieszono mnie za bójki.

Zarzuciłem także sport. Grałem w futbol, koszykówkę

i biegałem aż do drugiej klasy, i choć tata pytał czasami, jak mi poszło, gdy wracałem do domu, wyraźnie czuł się nieswojo, kiedy wdawałem się w szczegóły, ponieważ było jasne, że nie zna się w ogóle na żadnych sportach. Nigdy w życiu nie należał do żadnej drużyny. Kiedy byłem w drugiej klasie, pojawił się na jednym jedynym meczu koszykówki. Siedział wśród publiczności, dziwny, łysiejący facet w wytartej sportowej marynarce i w skarpetkach nie od pary. Mimo że nie był otyły, miał spodnie zmarszczone w pasie, przez co wyglądał, jak gdyby był w trzecim miesiącu ciąży. I uświadomiłem sobie, że nie chcę mieć z nim nic wspólnego. Odczuwałem zakłopotanie na jego widok i po zakończonym meczu trzymałem się od niego z daleka. Nie uważam tego za powód do dumy z siebie, ale taki właśnie byłem.

Sytuacja stawała się coraz gorsza. W ostatniej klasie mój bunt sięgnął zenitu. Od dwóch lat moje oceny spadały coraz bardziej, raczej z powodu lenistwa i braku zainteresowania niż braku inteligencji (tak uważam, może niesłusznie), kilkakrotnie ojciec przyłapał mnie, gdy wkradałem się późną nocą do domu, zionąc gorzałą. Pewnego razu policja odwiozła mnie do domu z imprezy, gdzie ewidentnie był w użyciu alkohol i narkotyki, a kiedy ojciec dał mi szlaban, wściekłem się na niego, wykrzyczałem, żeby pilnował własnego nosa, i przemieszkałem dwa tygodnie w domu kolegi. Po moim powrocie nie powiedział ani słowa, natomiast jajeznica na bekonie z grzankami jak zwykle była

rano na stole. Ledwie przechodziłem z klasy do klasy i przypuszczam, że pozwolono mi ukończyć szkołę po prostu dlatego, że chciano się mnie jak najprędzej pozbyć. Wiem, że tata się martwił i czasami poruszał na swój sposób temat college'u, ale ja już podjąłem decyzję, że nie pójdę na studia. Chciałem pracować, chciałem mieć samochód, chciałem tych dóbr materialnych, bez których żyłem przez osiemnaście lat.

Nie napomknąłem mu o tym ani słowem aż do lata po ukończeniu szkoły, ale kiedy dotarło do niego, że nie złożyłem nawet podania do dwuletniej szkoły policealnej, zamknął się w swoim pokoju na resztę wieczoru i nazajutrz rano nie odezwał się do mnie przy zwykłym śniadaniu. Wieczorem tego samego dnia próbował wciągnąć mnie do rozmowy o numizmatach, jak gdyby chwycił się nadziei powrotu do dawnej zażyłości, którą jakimś sposobem utraciliśmy.

— Pamiętasz, jak pojechaliliśmy do Atlanty i to ty znalazłeś tamtą pięciocentówkę z wizerunkiem bizona, której szukaliśmy przez wiele lat? — spytał. — Tamtą, z którą jesteśmy na zdjęciu? Nigdy nie zapomnę, jaki byłeś podniekowany. To mi przywiodło na pamięć mojego ojca i mnie.

Pokręciłem głową, uzewnętrzniła się cała moja frustracja spowodowana życiem z ojcem.

— Mam powyżej uszu słuchania o monetach! — wrzasnąłem. — Nigdy więcej nie chcę słyszeć o nich ani słowa!

Powinieneś sprzedać tę cholerną kolekcję i zająć się czymś innym. Czymkolwiek!

Ojciec nic nie odpowiedział, ale do dziś dnia pamiętam jego zbolaną minę, kiedy w końcu odwrócił się i powłókł do swojej dziupli. Zraniłem go i choć mówiłem sobie, że tego nie chciałem, w głębi duszy zdawałem sobie sprawę, że okłamuję samego siebie. Od tamtej chwili ojciec rzadko poruszał temat numizmatów. Ja również. Stworzyło to między nami głęboką przepaść, nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia. Po kilku dniach uświadomiłem sobie, że zniknęła również nasza jedyna fotografia, jak gdyby tata uważał, że urazi mnie nawet najdrobniejsze przypomnienie monet. W owym czasie prawdopodobnie tak by się stało i mimo że założyłem, iż wyrzucił zdjęcie, wcale mnie to nie obeszło.

W okresie dorastania nigdy nie brałem pod uwagę ewentualności wstąpienia do wojska. Choć wschodnia Karolina Północna jest obszarem naszego kraju, gdzie jest najgęstsza sieć obiektów wojskowych — w odległości kilku godzin jazdy od Wilmingtonu znajduje się siedem baz — uważałem, że wojsko jest dla nieudaczników. Kto chciałby spędzić życie pomiatany przez bandę ostrzyżonych na jeża fagasów? Na pewno nie ja, i poza chłopakami z ROTC *, także bardzo niewielu kolegów z mojej szkoły średniej. Większość dobrych uczniów wybierała się na University of North Carolina lub North Carolina State, natomiast ci słabsi zostawali, obi-

* ROTC — Reserve Officer's Training Corps — w Stanach Zjednoczonych odpowiednik studium wojskowego w uczelni wyższej.

jając się i chwytając się różnych prac, żłowiąc piwo i prze-siadując, gdzie się dało, zdecydowanie unikając wszystkiego, co mogłoby wymagać odrobiny odpowiedzialności.

Należałem do tej ostatniej kategorii. Przez parę lat po ukończeniu szkoły miałem się rozmaitych zajęć, pracowałem jako pomocnik kelnera w Outback Steakhouse, odrywałem kontrolne odcinki biletów w miejscowym kinie, ładowałem i wyładowywałem pudła w Staples, piekłem gofry w Waffle House, pracowałem jako kasjer w kilku miejscach, gdzie sprzedawano bzdety turystom spoza miasta. Wydawałem każdy zarobiony grosz i nie łudziłem się ani przez chwilę, że ostatecznie uda mi się wspiąć po szczeblach kariery do kierowniczych stanowisk, toteż ostatecznie wylatywałem z każdej pracy. Dość długo nie przejmowałem się tym ani trochę. Robiłem, co mi się żywnie podobało. Miałem bzika na punkcie uprawiania surfingu do późna, a potem spałem do południa, a ponieważ nadal mieszkalem w domu, nie musiałem płacić za jedzenie, czynsz, ubezpieczenie, nie odkładałem też na przyszłość. Poza tym żadnemu z moich kolegów nie powodziło się lepiej niż mnie. Nie pamiętam, żebym czuł się szczególnie nieszczęśliwy, lecz po pewnym czasie zwyczajnie zmęczyło mnie moje życie. Nie samo surfowanie, co to, to nie — w 1996 roku huragany „Bertha” i „Fran” uderzyły w wybrzeże i fale były najlepsze od lat — lecz to nudne wystawanie pod barem Leroya. Zacząłem uświadamiać sobie, że każdy wieczór był taki sam. Piłem piwo, wpadałem na ludzi, których znałem ze szkoły średniej,

pytali mnie, co robię, ja im odpowiadałem, potem oni mówili, co robią, i nie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić, że i oni, i ja zmierzamy donikąd. Nawet jeśli mieli własne mieszkanie, którego ja nie miałem, nie wierzyłem, gdy opowiadali mi, że lubią swoją pracę — kopanie rowów, mycie okien czy wożenie turystycznych toalet Porta Potti, ponieważ doskonale wiedziałem, że o żadnym z tych zajęć nie marzy się, dorastając. Może leniłem się w szkole, ale aż tak głupi nie byłem.

W tamtym okresie spotykałem się z dziesiątkami kobiet. Tutaj, u Leroya, zawsze były kobiety. W większości były to znajomości niewarte zapamiętania. Wykorzystywałem kobiety i zawsze zachowując uczucia dla siebie, pozwalałem, by one wykorzystywały mnie. Jedyne związku z dziewczyną o imieniu Lucy przetrwał dłużej niż kilka miesięcy i przez krótki czas, zanim nieuchronnie się rozstaliśmy, wydawało mi się, że się w niej zakochałem. O rok starsza ode mnie, była studentką UNC* w Wilmingtonie i po ukończeniu studiów chciała znaleźć pracę w Nowym Jorku.

— Zależy mi na tobie — powiedziała mi ostatniej nocy, którą spędziliśmy razem — ale ty i ja pragniemy różnych rzeczy. Mógłbyś zrobić znacznie więcej w życiu, lecz ty z jakiegoś powodu wolisz po prostu snuć się bez celu. — Zawahała się, po czym mówiła dalej. — W dodatku nie wiem, co naprawdę do mnie czujesz.

* UNC — University of North Carolina.

Zdawałem sobie sprawę, że Lucy ma rację. Wkrótce potem wsiadła do samolotu, nie zawracając sobie nawet głowy, by się ze mną pożegnać. Po upływie roku poprosiłem jej rodziców o numer telefonu i zadzwoniłem do niej. Rozmawialiśmy przez dwadzieścia minut. Powiedziała mi, że zaręczyła się z adwokatem i wychodzi za mąż w czerwcu następnego roku.

Ta rozmowa telefoniczna poruszyła mnie bardziej, niż się spodziewałem. Wydarzyła się w dniu, kiedy zostałem wylany z pracy — kolejny raz — i jak zawsze poszedłem pocieszyć się do Leroya. Zostałem tam ten sam tłumek nieudaczników i nagle uświadomiłem sobie, że nie mam ochoty spędzać jeszcze jednego bezsensownego wieczoru i udawać, że wszystko w moim życiu świetnie się układa. Kupiłem więc sześciopak piwa i usiadłem z nim na plaży. Po raz pierwszy od lat poważnie się zamyśliłem nad moim życiem, co powinienem z nim zrobić i czy nie warto jednak pójść za radą taty i wstąpić do college'u. Ale od tak dawna już byłem poza szkołą, że ten pomysł wydał mi się niecelowy i absurdalny. Można to nazwać szczęściem lub pechem, ale właśnie wtedy przebiegło obok mnie dwóch żołnierzy piechoty morskiej. Młodzi i sprawni fizycznie, promieniowali spokojną pewnością siebie.

Przetrawiałem to przez parę dni. Ostatecznie to ojciec wpłynął w pewnym stopniu na moją decyzję. Oczywiście nie napomknąłem mu o tym nawet słowem. Pewnej nocy, idąc do kuchni, zobaczyłem, że swoim zwyczajem siedzi

przy biurku. Tym razem jednak przyjrzałem mu się dokładnie. Wyłysiał już prawie całkowicie, a resztki włosów, które pozostały mu za uszami, były zupełnie siwe. Zbliżał się do wieku emerytalnego i nagle uderzyła mnie myśl, że nie mam prawa wciąż sprawiać mu zawodu po tym wszystkim, co dla mnie zrobił.

Zaciągnąłem się więc do wojska. Najpierw przyszła mi do głowy piechota morska, ponieważ najlepiej znałem tych chłopaków — zjeżdżali zawsze tłumnie na Wrightsville Beach z Camp Lejeune lub Cherry Point, kiedy jednak nadszedł czas, wybrałem wojska lądowe. Domyślałem się, że w jednym i drugim przypadku dostanę karabin, ale ostatecznie na moim wyborze zaważył fakt, że kiedy zaszedłem do biura, facet werbujący piechotę morską jadł akurat lunch i nie był w tym momencie wolny, natomiast ten, który werbował do wojsk lądowych — jego biuro mieściło się po drugiej stronie ulicy — był. Ostatecznie podjąłem bardziej spontaniczną decyzję, niż zamierzałem, ale podpisałem się w wyznaczonym miejscu, zaciągając się na cztery lata, a kiedy rekrutujący poklepał mnie po plecach, gratulując mi, przyłapałem się na tym, że zastanawiam się, w co się wpakowałem. Było to pod koniec 1997 roku, miałem wtedy dwadzieścia lat.

Obóz szkoleniowy dla rekrutów w Fort Benning był taki okropny, jak to sobie wyobrażałem. Wszystko zdawało się mieć na celu upokorzenie nas i poddanie praniu mózgow, byśmy wykonywali rozkazy bez sprzeciwu, bez względu na

to, jak mogą być głupie. Przystosowałem się jednak znacznie szybciej od wielu chłopaków. Kiedy już przez to przeszedłem, wybrałem piechotę. Przez następne kilka miesięcy ćwiczyliśmy pozorowaną walkę w Luizjanie i starym dobrym Fort Bragg, gdzie w zasadzie uczyliśmy się najskuteczniejszych sposobów zabijania ludzi i niszczenia obiektów; po pewnym czasie moja jednostka, wchodząca w skład Pierwszej Dywizji Piechoty — znanej też jako Big Red One — została wysłana do Niemiec. Nie znałem słowa po niemiecku, ale nie miało to znaczenia, ponieważ prawie każdy, z kim miałem do czynienia, mówił po angielsku. Na początku było łatwo, następnie rozpoczęło się wojskowe życie. Spędziłem siedem okropnych miesięcy na Bałkanach — najpierw w Macedonii w 1999 roku, potem w Kosowie, gdzie zostałem do późnej wiosny dwutysięcznego roku. Życie w wojsku niezbyt się opłacało, lecz biorąc pod uwagę fakt, że nie trzeba było płacić czynszu, kupować jedzenia i nie było na co wydać żołdu, to mogłem po raz pierwszy wpłacić pieniądze do banku. Niedużo, lecz wystarczająco.

Pierwszą przepustkę spędziłem w domu, nudząc się jak mops. Na drugą pojechałem do Las Vegas. Było to miasto rodzinne jednego z moich kumpli i zamelinowaliśmy się we trójkę w domu jego rodziców. Roztrwonilem prawie wszystkie oszczędności. Podczas trzeciej przepustki, po powrocie z Kosowa, rozpaczliwie potrzebowałem chwili wytchnienia i postanowiłem wrócić do domu w nadziei, że nuda podczas mojego tam pobytu podziała uspokajająco na moją psychikę.